

Pojechałem do Lublina na razie sam, obiecując sobie, że będę mógł wkrótce sprowadzić rodzinę. Niestety upłynęło wiele tygodni, zanim to mogło nastąpić. Zgłosiłem się u pułk. Hausnera, który oświadczył mi, że do czasu, aż znajdzie się odpowiednie mieszkanie otrzymam przydział pokoju w hotelu Victoria /pierwszorzędnym hotelu przy Krakowskim Przedmieściu/, a będę mógł stołować się w menaży Gubernatorstwa, w ramach przysługującego mi "Etappenrelutum", Pułk. Hausner skierował mnie do szefa administracji cywilnej, hr. Jerzego Wodzickiego, który nosił tytuł zastępcy Generałgubernatora. Po krótkiej rozmowie polecił mi zgłosić się u majora Dregera, który był kierownikiem działu gospodarczego gubernatorstwa, w skład którego wchodziły różne wydziały, jak rolny, przemysłowy i.in. Major Dreger był to Niemiec, posiadający duże dobra ziemne^{skie} i cukrownię w Czechach, spokrewniony z tamtejszą niemiecką arystokracją. Był on wybitnym rolnikiem i znanym hodowcą zbóż, stąd nazwisko mego brata Jerzego jako hodowcy zbóż nie było mu obce. Ucieszył się słysząc, że jestem bratem Jerzego i mam ukończone studia rolnicze.

- Nareszcie dostałem prawdziwego rolnika! Mam nadzieję, że wkrótce będę mógł powierzyć panu wyższe funkcje, niż inspektora hodowlanego.

Biuro działu rolnego znajdowało się w lewym skrzydle gmachu gubernatorstwa, dawnego pałacu radziwiłowskiego, położonego przy placu, który za czasów rosyjskich nosił podobno nazwę "Plac Musztry"; za czasów okupacji austriackiej został nazwany Placem "Unii lubelskiej", a obecnie nosi nazwę "Plac Litewski". Głównym referentem działu rolnego był dobroduszny starszy pan Randwehr von Pragenau, który w czasach pokojowych był dyrektorem administracyjnym stadniny koni w Radowcach na Bukowinie. Nie miał on

dużego pojęcia o rolnictwie, a językiem polskim władał bardzo słabo, tak że chcąc się należycie porozumieć z interesantami narodowości polskiej nie władającymi językiem niemieckim, musiał korzystać z pomocy urzędnika kontraktowego p. Łukasiewicza, który również redagował według dyrektyw p. Landwehra wszelkie pisma w języku polskim. Językiem urzędowym był oczywiście niemiecki, ale przy załatwianiu wszelkich podań miejscowej ludności obowiązywał język polski, a wszelkie rozporządzenia i ogłoszenia władz miały obok tekstu niemieckiego dokładne jego tłumaczenie w języku polskim.

Major Dreger przydzielił mi już po kilku dniach załatwienie wszelkich spraw i korespondencji z interesantami narodowości polskiej i redakcję wszelkich zarządzeń dwujęzycznych, podczas gdy p. Landwehr opracowywał liczne obowiązujące sprawozdania dla władz centralnych /Naczelnej Komendy Etapów/ w Cieszynie i wszelkie zarządzenia i korespondencje z podległymi komendami powiatowymi. W dziale rolnym pracował ponadto major huzarów węgierskich Mareš, który na okres czasowej niezdolności do służby frontowej został przydzielony do działu rolnego Gubernatorstwa.

Z działem rolnym związana była osobna komórka motoryzacji rolnictwa, podległa również majorowi Dregerowi; dział ten prowadził mój dobry lwowski znajomy i przyjaciel, por.rez.kawalerii Stanisław Mniszek. W związku z wypadkami wojennymi rolnictwo w wielu powiatach cierpiało na brak koni. Aby chociaż częściowo zaradzić temu brakowi, władze centralne przydzieliły gubernatorstwu znaczniejszą partię nabytych w Niemczech pługów motorowych Stock'a, które miały być rozprowadzane po powiatach wykazujących największy niedobór sił pociągowych. Pługi te pracowały przede wszystkim w majątkach opuszczonych przez właścicieli i pozostających w administracji państwowej, poza tym w większych majątkach ziemskich. Do obsługi pługów...

łani do służby wojskowej, którzy chętnie zgłaszali się do bezpiecznej pracy poza frontem, chociaż wielu z nich nigdy nie pracowało przy obsłudze jakiegokolwiek silnika. Trzeba było urządzić kurs szkoleniowy pod kierownictwem odpowiedniego fachowca. Wśród tych kandydatów znalazł się jeden, który wogóle nie mógł wchodzić w rachubę jako kierowca pługa motorowego. Zgłosił on, był, że jest monterem i na tej podstawie został bez sprawdzania jego kwalifikacji przysłany do Lublina. Dopiero tam przyznał się, że jest stroicielem fortepianów. Okazało się, że jest wybitnym fachowcem w tej dziedzinie, więc pozostał na etacie montera pługów motorowych, ale przez całą wojnę stroił fortepiany oficerom i urzędnikom Gubernatorstwa mającym fortepiany w swych mieszkaniach.

Korzystając z prawa stołowania się w menaży Gubernatorstwa chodziłem tam na śniadania, obiady i kolacje. Jedzenie było doskonałe, gdyż szefem kuchni był świetny kucharz ze znanej wiedeńskiej restauracji, Sachera powołany ~~był~~ do służby wojskowej jako podoficer rezerwy. W tym samym gmachu ^{były} dwie czy trzy sale klubowe, w których była czytelnia wyposażona w gazety i magazyny ilustrowane, fortepian, bilard i stoliki do kart. Nie wiem przez kogo dowiedziano się, że gram dobrze w brydża. Wkrótce adjutant osobisty Generałgubernatora, którym nadal był bar. Diller, zaprosił mnie do stałego udziału w partiach brydża, organizowanych dla szefa, po obiedzie i po kolacji. Grało się stosunkowo drogo, różnice dochodziły czasem do kilkudziesięciu koron - co stanowiło niemal 10% miesięcznej pensji kapitana.

Generał Diller w razie wygranej wręczał wygraną kwotę adjutantowi z poleceniem złożenia jej na jakiś cel dobroczynny. Adjutantem tym był - nawiasem mówiąc - hr. Schaffgotsche, właściciel

ków ziemskich i lasów.

Mnie w pierwszych dniach karta jakoś nie szła i zacząłem się zastanawiać, czy nie wypadnie mi zrezygnować z tej zbyt kosztownej na moją kieszeń zabawy, ale na szczęście po kilku dniach zacząłem częściej wygrywać i odbiłem z nadwyżką całą przegraną. Ta zresztą bardzo miła partia stanowiła przyjemne wytchnienie w całodziennej pracy.

Jeżeli wieczorem nie było brydża, to chodziłem do kina lub do teatru. W teatrze dawano najczęściej operetki, które cieszyły się największym powodzeniem, gdyż uczęszczali na nie liczni oficerowie i urzędnicy austriaccy, nie władający językiem polskim, podczas gdy wszelkie inne przedstawienia nie stanowiły ^{dla nich} żadnej atrakcji. Artystki otrzymywały od swych wielbicieli nie tylko kwiaty, lecz nieraz praktyczniejsze prezenty w postaci pięknych tortów lub innych wyszukanych środków żywnościowych, które na zamówienie produkował znakomity kucharz wiedeński, licząc za nie, prócz niewielkiego stosunkowo wynagrodzenia za poniesione trudy, tylko ceny płacone za potrzebne środki żywności w obficie zaopatrzonych magazynach menaży gubernatorskiej.

W końcu udało mi się wyszukać odpowiednie mieszkanie i dzięki protekcjom wystarać się o jego przydział. Było to mieszkanie wyjątkowo komfortowe z wodociągiem, kanalizacją, łazienką etc., a takich mieszkań było wówczas w Lublinie niezbyt wiele. Znajdowało się ono na III piętrze kamienicy przy ul. 3 Maja, której właściciel, wyznania mojżeszowego uciekł z Rosjanami, pozostawiając mieszkanie kompletnie urządzone. Składało się ono z trzech większych i dwóch mniejszych pokoi przedzielonych korytarzem w ten sposób, że do każdego pokoju był niekrępujący dostęp. Prócz tego była obszerna kuchnia, spiżarka i pokój dla służby. Miałem

drugiego pokoju za niewielką opłatą, składaną w miejskim Urzędzie Kwaterunkowym. Obawiałem się, że dokwaterują nam do pozostałych 3 pokoi jakąś obcą rodzinę, dlatego porozumiałem się z Isnenghim, który jako major miał prawo do bezpłatnego przydziału dwóch pokoi i donajęcia trzeciego. Isnenghi zgodził się zrezygnować z posiadanego już mieszkania i zająć jeden pokój w naszym mieszkaniu /zgłaszając użytkowanie trzech/. Sprowadził się z ordynansem, młodym sprytnym i usłużnym żydkiem z Jarosławia czy Radymna, który po wyleczeniu z rany poniesionej na froncie został przydzielony do służby pozafrontowej. Z ordynansa tego miała moja żona dużą pomoc, gdyż obsługa Isnenghiego zajmowała mu niewiele czasu, więc chętnie pomagał za niewielką opłatą miesięczną przy sprzątanii mieszkania i załatwiał wszelkie sprawunki. Miałem prawo do nabywania po ustalonych niewygórowanych cenach wszelkich produktów spożywczych jak mięsa, produkty mączne i mleczarskie, jarzyny i różne używki z zapasów menaży gubernatorstwa. Ordynans przynosił codziennie rano wszystko co było potrzebne, dokupując czasem coś w mieście, według otrzymanych poleceń. Tak więc prowadzenie gospodarstwa domowego nie nastroczało zbytnich trudności, a otrzymywana pensja wystarczała na wszelkie wydatki.

Komendantem powiatu lubelskiego był mój kuzyn August Turnau, syn najstarszego brata mojego ojca Józefa, generała austriackiego. Był on wychowany od wczesnej młodości w niemieckich szkołach wojskowych. Stryja Józefa w ogóle nie znałem, /umarł gdy miałem 3 lata/ ale wiem, że z lat dziecięcych pozostała mu tylko bardzo słaba znajomość języka polskiego. Ożeniony z Węgierką i pełniący zawsze służbę w Wiedniu lub w prowincjach austriackich zamieszkałych przez Niemców, uważał się za Niemca i w tym też duchu wychował swego syna, kształcąc go w niemieckich szkołach wojskowych. August dosłużył się rangi pułkownika, ale już

w majątku swojej żony Niemki "bar.Wattman/. Podobnie jak ojciec uważał się za Niemca, a społeczeństwo polskie traktowało go niesłusznie jako renegata, gdyż po prostu należał do tej linii rodziny Turnauów, która żyjąc w środowisku niemieckim nie zmieniła swej pierwotnej narodowości, w przeciwieństwie do mego ojca i pozostałych braci, którzy żyjąc w środowisku polskim i żeniąc się z Polkami stali się dopiero w pełni Polakami.

Niesłusznie również były ataki na Augusta Turnaua z okazji prowadzenia wysyłki ludności gubernatorstwa na roboty w Austrii. Wysyłka ta odbywała się w zasadzie na podstawie dobrowolnych umów ale w braku dostatecznej liczby zgłoszeń przewidziane było stosowanie przymusu wobec osób, które nie mogły wykazać się wykonywaniem jakiegoś samoistnego zawodu lub pełnieniem stałej pracy najemnej. Odnośne zarządzenia wydał gen. Diller, stosując się do zarządzeń Naczelnej Komendy w Cieszynie; bezpośrednim redaktorem odnośnych ogłoszeń był K.W. Kumaniecki /później profesor U.J. i minister w okresie międzywojennym/ który jako porucznik rezerwy pełnił funkcje kierownika Arbeitsamt. Wszyscy komendanci powiatów otrzymali polecenie ogłoszenia tych zarządzeń i odnośne afisze nosiły wszędzie podpisy komendanta powiatu, dlatego w Lublinie figurewał podpis pułk.Turnau, który był tylko wykonawcą otrzymanych zarządzeń. Wszelkie ^{środkami} przymusowe, ^{zwłaszcza} zniszczone łapanie były prowadzone przez podległą komendantowi powiatu milicję, lecz przez żandarmerię wojskową podległą komendantowi sił zbrojnych gubernatorstwa gen. Lustigowi. Zresztą przy tych łapaniach zwalniano od razu lub najpóźniej po kilku dniach osoby, które mogły się wykazać jakimś stałym zatrudnieniem, W każdym razie wszelkie reklamacje, nieraz słuszne, należało kierować pod innym adresem a nie komendanta powiatu.

Mój kuzyn odnosił się do nas bardzo serdecznie, prosił abyś-

ale przeprosił, że sam będzie mówił po niemiecku gdyż wstydzę się przed nami kaleczyć nasz język. Moja żona władała zresztą językiem niemieckim równie dobrze jak ja, więc rozmowa toczyła się najczęściej w języku niemieckim.

August, o ile mie miał własnych wyjazdów służbowych w teren, przysyłał niemal coedziennie swój piękny powóz zaprzężony w doskonałe konie, którym moja żona w dzieciństwie odbywała dłuższe spacery za miasto, a czasem posyłała dzieci z bońcią.

Właściciel domu w którym mieszkaliśmy pozostawił był w zajmowanym przez nas mieszkaniu doskonały gramofon i spory komplet pięknych płyt, m.in. z arjami śpiewanymi przez Szaljapina i doskonałą śpiewaczkę rosyjską Michajłową. Isnenghi wydelegowany raz w sprawach służbowych do Wiednia, przywiózł stamtąd szereg dobrych płyt z arjami z Lohengrina i Śpiewaków Norymberskich Wagnera, z różnych oper Verdiego i Pucciniego m.in., arję z Madame Butterfly, śpiewaną przez znakomitą artystkę Emmy Destin, /o której ostatnio pisał Rubinstein w swych pamiętnikach/. Nie raz siedzieliśmy w domu do późnych godzin nocnych słuchając pięknej muzyki. Te piękne nagrania gramofonowe przyczyniły się znacznie do umuzykalnienia mej żony.

Wkrótce zawarliśmy znajomość z rodzinami kilku oficerów i urzędników gubernatorstwa, którzy sprowadzili rodziny do Lublina a także z kilku rodzinami miejscowymi. Spotykaliśmy się często w kawiarni Rutkowskiego przy Krakowskim Przedmieściu, naprzeciw wylotu ul. Trzeciego Maja, na czarnej kawie i doskonałych ciastkach.

Znaleźli się świetni partnerzy do tenisa, jednak w dni powszednie nie było na to wiele czasu, gdyż urzędowanie kończyło się o godz. 6-ej. Wieczorami grywało się często w kręgle, przy dźwiękach muzyki Wojskowej.

Życie układało się zatem dla nas wcale przyjemnie; pozwalało

nie myśleć o wszystkich tragicznych wypadkach na froncie, o coraz bardziej pogarszającym się położeniu ludności cywilnej w kraju i zapomnieć o poniesionych stratach osobistych.

Jeżeli chodzi o położenie ludności cywilnej, to było ono na terenie okupacji austriackiej raczej lepsze niż w Galicji, gdzie rolnictwo ucierpiało znacznie więcej od działań wojennych i gdzie warunki sprowizacyjne były znacznie trudniejsze. Najlepszym tego dowodem były liczne próby omijania zakazu wywozu zboża i wielu innych produktów rolnych z okupowanych terenów, a nie było żadnego przemysłu w kierunku odwrotnym.

Pierwszą ważniejszą moją funkcją w charakterze inspektora hodowlanego był wyjazd do Niemiec, na zakup buhajów rozplodowych. Umowa w tej sprawie zawarta została jeszcze przed objęciem przezemnie posady inspektora hodowlanego, przez maj. Maresa, który twierdził, że dla poprawy rasy bydła na okupowanym obszarze trzeba koniecznie sprowadzić z Niemiec kilkadziesiąt buhajów rozplodowych i zdołał w tej potrzebie przekonać swych przełożonych. W toku prowadzenia całej tej akcji doszedłem do przekonania że maj. Mareś kierował nie tyle się troską o hodowlę bydła w Polsce, co chęcią zrobienia interesu przed mającym wkrótce nastąpić jego powrotem do służby frontowej. Z całego jego zachowania się wobec reprezentantów niemieckich nie ulegało dla mnie żadnej wątpliwości, że musiał dostać od nich grubą łapówkę. Hodowcy niemieccy chcieli po prostu pozbyć się najgorszego materiału hodowlanego, na który nie mogli znaleźć nabywców na miejscu, a bardzo sprytny i obrotny ich reprezentant, niejaki pan Schmidt, będący dyrektorem dużej niemieckiej firmy trudniącej się pośrednictwem w handlu bydłem hodowlanym, a także dostawą bydła rzeźnego dla armii niemieckiej, doprowadził do zawarcia umowy pod każdym względem bardzo niekorzystnej dla

oferowane na sprzedaż buhaje muszą być zapisane do ksiąg bydła zarodowego danego związku hodowlanego i muszą mieć zaświadczenie że są wolne od gruźlicy, nie były jednak zastrzeżone żadne minimalne wymogi dotyczące pochodzenia i wydajności mlecznej matki i u babek buhaja. Wymieniona była orientacyjna cena, która w poszczególnych przypadkach mogła być podwyższona nawet o 30% lub obniżona o 10%. Cena ta miała być ostatecznie ustalona w drodze pertraktacji przy odbiorze, przy czym w razie gdyby nie doszło do porozumienia między sprzedawcą i odbiorcą miał decydować profesor hodowli którejs niemieckiej wyższej uczelni rolniczej. Z góry można było przewidzieć, że orzeczenie to wypadnie zawsze na korzyść sprzedawców. Według umowy transakcja miała objąć co najmniej 200 sztuk. Spędy buhajów oferowanych na sprzedaż miały się odbyć w Malborku i w Berlinie dla buhajów rasy nizinnej czarno-białej, a w Hamburgu dla buhajów rasy Angeln, przeznaczonych do poprawy naszego bydła rasy czerwonej polskiej.

Osobliwy był skład wydelegowanej przez gubernatorstwo czteroosobowej komisji; jedynym fachowcem w tej ~~działalności~~ komisji byłem ja, drugim rzekomym fachowcem był porucznik intendenty Seborski, syn właściciela największego wieśnińskiego przedsiębiorstwa rzeźnego, który znał się na tym, jak klasyfikować bydło rzeźne, ale nie miał pojęcia o wymogach, jakim powinny odpowiadać bydło hodowlane przeznaczone do produkcji mleka, a o taki materiał właśnie chodziło; trzecim był major Mareš, który posiadał jakiś majątek ziemski na Węgrzech i z tego tytułu dostał się do referatu rolnego, ale jako oficer zawodowy nie miał wielkiego rozeznania w sprawach hodowlanych tym bardziej, że na Węgrzech hodowano zupełnie inne rasy bydła. Czwartym był również oficer zawodowy, majpr Englisch, zastępca szefa sztabu. Był to wielki spryciarz i geszefciarz, zdaje się narodowości żydowskiej, znany

z tego, że lubił wykorzystywać swe stanowisko, dla załatwiania różnych niezbyt czystych interesów. W kilka miesięcy później miałem się dowiedzieć o pomyśle majora Englischa- który niewątpliwie musiał być dla niego w przyszłości źródłem bardzo dużych dochodów. Miano drukować specjalne znaczki pocztowe dla terenów okupowanych w Polsce. Englisch postarał się o to, że wydrukowano i puszczono w obieg kilka tysięcy sztuk z jakimś "błędem", w postaci nieco odmiennej barwy i zatrzymał dla siebie kilkaset znaczków. Wiadomo, że takie znaczki są poszukiwane przez filatelistów jako rzadkość i osiągają z czasem bardzo wysoką cenę. Englisch schował swoje znaczki i musiał ~~on~~ niewątpliwie grubo na nich zarobić po wojnie. Bardzo być może, że maczał on też palce w pertraktacjach, o kupno buhajów i dostał również grubą łapówkę za poparcie starań o dojście do skutku tej transakcji. Także pan Schmidt musiał się przy tej transakcji dobrze obłowić, gdyż nie szczędził kosztów, aby możliwie uprzyjemnić członkom komisji pobyt w Niemczech. W umowie było zastrzeżone, że koszty ich utrzymania w czasie pobytu w Niemczech ponosi sprzedawca, ale zgotowane nam przyjęcie było wprost luksusowe. Każdy z nas dostawał osobny pokój z łazienką w pierwszorzędnym hotelu, a obiady i kolacje to były uczyty luksusowe z najbardziej wyszukanymi potrawami i doborowymi alkoholami. Pobyt nasz w każdym mieście trwał dwa lub trzy dni, więc pan Schmidt starał się o wszelkie możliwe rozrywki dla nas. W Malborku zwiedziliśmy dawny zamek krzyżacki; w Berlinie członkowie komisji poszli z panem Schmidtem do jakiegoś Variété; ja wolałem pójść na operę Ryszarda Straussa "Resenkavalier" z świetnym tenorem Jadlowkerem, więc pan Schmidt wystarał się o bilet dla mnie, co nie było bynajmniej rzeczą łatwą. W Hamburgu zwiedziliśmy sławny ogród zoologiczny Hagenbecka, a wieczorem byliśmy na jakiejś dobrej niemieckiej farsie.

Pan Schmidt liczył zapewne na to, że to hojne przyjęcie opłaci się jemu i hodowcom których reprezentował i że komisja zakupi więcej niż przewidziane minimum 200 sztuk, a będzie się godziła na żądane przez sprzedawców wygórowane ceny. Nie zawiódł się na panu Mareš i Englischau, którzy prawie zawsze uważali, że ceny za oferowane rozplodniki nie są wygórowane. Saborski zwracał jedynie uwagę na ich cechy mięsne. Na mnie spoczywał cały ciężar oceny wartości hodowlanej doprowadzanych sztuk, a było to zadanie niełatwe, gdyż-jak przewidywałem-był to przeważnie materiał o małej wartości. Starłem się odrzucać wszystkie sztuki mało-wartościowe, aby nie sprowadzać do Polski sztuk, które w niczym nie mogły przyczynić się do podniesienia hodowli w kraju. Mniej mi zależało na tym jaką sumę gubernatorstwo będzie musiało zapłacić z tytułu tej imprezy, poczuwałem się jednak do obowiązku, aby tę sumę możliwie obniżyć. Niewiele jednak udało się osiągnąć w tym zakresie; sprzedawcy żądali najczęściej maksymalne ceny przewidziane umową, a profesor pełniący rolę eksperta i rozjemcy oświadczał zwykle, że dany buhaj ma nawet wyższą wartość niż żąda nabywca. Udało mi się jedynie ograniczyć całą ilość nabytych sztuk do zastrzeżonego umową minimum. Ostatecznie cała transakcja miała charakter małego haraczu Austrii na rzecz Niemiec; wyrzucono na ten cel znacznie więcej pieniędzy niż było warto, a można było te sumy zużytkować na różne, bardziej palące potrzeby miejscowego rolnictwa..

Było bardzo niewielu reflektantów na kupno sprowadzonych buhajów i to tylko na sztuki bardziej wartościowe. Już przed wyjazdem do Niemiec nawiązałem był kontakt z inspektorami lubelskiego Towarzystwa Rolniczego; uprzedziłem ich o zamierzonym imporcie buhajów i prosiłem o zebranie informacji w terenie co do odnośnego zapotrzebowania i przygotowanie wniosków co do sposobu

gółową naradę i na tej podstawie zaproponowałem moim władzom przełożonym, aby skorzystać ze współpracy z Towarzystwem Rolniczym i powierzyć mu rozmieszczenie buhajów w terenie w podobny sposób, jak to było praktykowane w Galicji przez Lwowskie Towarzystwo gospodarskie i krakowskie Towarzystwo Rolnicze.

Z pracownikami Towarzystwa Rolniczego utrzymywałem stały kontakt i starałem się iść im na rękę i pomagać w miarę możliwości we wszystkich sprawach związanych z chowem i hodowlą bydła.

Wszyscy inspektorowie byli absolwentami warszawskiej Wyższej Szkoły Rolniczej a ^w późniejszych latach, w wolnej Polsce odegrali wybitną rolę w polskiej hodowli. Kierownikiem Ekspozytury Centralnego Towarzystwa Rolniczego i sekretarzem lubelskiego Towarzystwa Rolniczego był inż. Jan Grabowski, obecnie profesor warszawskiej Akademii Rolniczej i wybitny specjalista chowu koni. Inspektorami chowu bydła byli inż. Stefan Wiśniewski, późniejszy długoletni dyrektor Polskiego Towarzystwa Zootechnicznego inż. Stanisław Rosłonec, autor broszury "Polskie bydło czerwone" oraz inż. Mieczysław kwasieborski, który w czasach po drugiej wojnie światowej położył wielkie zasługi w pracy nad rozwojem hodowli bydła w województwie olsztyńskim. Najbardziej palącą ~~XXXX~~ sprawą, z którą zwracali się do mnie inspektorzy Towarzystwa Rolniczego, była ochrona przed masowymi rekwizycjami bydła mlecznego. Rekwizycje te prowadziła intendentura na pokrycie zapotrzebowania armii w materiał rzeźny. Zamiast brać na ten cel sztuki nadające się do wybrakowania ze względu na małą wartość użytkową kierowano się przy rewizycjach jedynie kondycją zwierząt, zabierając na rzeź często najlepsze krowy mleczne. Wszystkie moje starania o ograniczenie rekwizycji do sztuk o małej użyteczności mlecznej rozбивały się o opozycję intendentury, operującej argumentem "wojsko musi dostać mięso wyborowej jakości"

W końcu poprosiłem za wiedzą maj. Dregera o audiencję u nowego gubernatora, którym po ustąpieniu Dillera zamianowany został gen. Kuk, dawny komendant twierdzy krakowskiej. Przedstawiłem mu całą sprawę podkreślając, że zabieranie na rzeź najlepszych krów mlecznych grozi obniżeniem produkcji mleka i jego przetworów, która jest równie ważna jak produkcja mięsa. Zwróciłem uwagę na brak logiki w pociągnięciach gospodarczych, w których z jednej strony wydaje się znaczne sumy na podniesienie hodowli bydła mlecznego, /import buhajów/, a z drugiej niszczy tę hodowlę przez wybijanie najlepszych krów mlecznych. Przedstawiłem w ogólnych zarysach projekt zarządzenia, któreby chroniło od rekwizycji przynajmniej materiał zapisany do ksiąg związku hodowców bydła przy Towarzystwie Rolniczym i oznakowany odpowiednimi kolczykami usznymi. Gen.Kuk zastanowił się chwilę i oświadczył: ma pan rację, niech pan zredaguje takie rozporządzenie i nie posyła go już intendencurze do uzgodnienia, a ja je podpiszę. Tak więc ukazało się takie rozporządzenie ku wielkiemu niezadowoleniu intendencury, a posłużyło ono nie tylko bezpośrednio do ochrony materiału hodowlanego, lecz przyczyniło się pośrednio do podniesienia poziomu hodowli, gdyż zaczęło się masowe zgłaszanie krów do przyjęcia i zapisu do ksiąg związku hodowców bydła, połączone ze staraniem o podciągnięcie wartości tych krów przez lepsze żywienie i pielęgnowanie, aby odpowiadały ustalonym warunkom przyjęcia.

Wkrótce zakres moich obowiązków uległ znacznemu rozszerzeniu, gdyż powierzono mi przygotowanie całej kampanii skupu zboża i niektórych innych produktów rolnych na rok 1917. Trzeba było przede wszystkim rozesłać do wszystkich komend powiatowych zarządzenie wraz z odpowiednimi instrukcjami w sprawie oceny

tyngenty obowiązkowych podstaw nałożonych na poszczególne powiaty, opracować w dwóch językach rozporządzenia normujące całą akcję przymusowych dostaw zboża, oraz obroty pozostałymi nadwyżkami zboża.

Powstała wówczas w Lublinie Krajowa Rada Gospodarcza, ^{która} Generalgubernatorstwo uważało za organ doradczy i opiniodawczy we wszelkich sprawach gospodarczych. Zostałem zamianowany Komisarzem rządowym przy tej radzie, której prezesem był pan Jan Stecki, a członkami prezydium Kazimierz Fudakowski i Juliusz Zdanowski. Pozostawałem w stałym kontakcie z tymi panami, omawiałem z nimi projekty wszystkich rozporządzeń i wiele spraw związanych z rolnictwem i aprowizacją terenów podległych Gubernatorstwu; starałem się w miarę możliwości uwzględnić ich uwagi i zgłaszane postulaty.

Do prowadzenia całej techniczno-handlowej strony akcji skupu zboża i innych produktów rolnych utworzona została Centrala Gospodarki Zbiorami /Ernteverwertungs-zentrale/ z oddziałami we wszystkich powiatach, magazynami itd. Centrala ta stanowiła samodzielną jednostkę, podległą bezpośrednio maj. Dregerowi, ale ja zostałem mianowany komisarzem przy tej centrali z obowiązkiem kontroli jej sprawnego działania.

Miałem wtedy niezmiernie wiele pracy, zwłaszcza, że ważniejsze rozporządzenia trzeba było uzgadniać z intendenturą - a także z działem prawnym administracji cywilnej gubernatorstwa, gdyż podstawowe rozporządzenia miały charakter ustaw i przewidywały sankcje karne na wypadek przekroczeń obowiązujących przepisów. W dziale prawnym pracowali przeważnie wybitni urzędnicy Polacy przydzieleni do Lublina z Wiednia, gdzie pracowali w różnych ministerstwach, gdyż w Lublinie potrzebna była przy urzędowaniu doskonała znajomość zarówno języka polskiego jak i niemieckiego.

- 55 -

kiego. Pracował tam m.i. Stefan Iszkowski, spowinowacony z naszą rodziną, gdyż żoną jego była panna Kopecka z Rokitna /ojciec był stryjecznym bratem moich szwagrów/ z którą swego czasu próbowano mnie swatać. Miałem w czasach międzywojennych zawrzeć z nim bliższą znajomość i przyjaźń, gdyż pracowaliśmy wspólnie w administracji majątków Instytutu Puławskiego - o czym będzie mowa dalej.

Roboty biurowej przy panującej w Centrali biurokracji było bardzo dużo, bo prócz organizacji całej akcji skupu zboża musiałem załatwiać także wszystkie sprawy bieżące, w tym wszystkie b.liczne podania w języku polskim. Pan Landwehr, jako nie znający języka, załatwiał tylko korespondencje z podległymi Komendami powiatowymi, opracowywał na podstawie danych nadsyłanych z tych Komend różne zestawienia statystyczne i liczne sprawozdania, żądane przez naczelną Komendę w Cieszynie. Musiałem oczywiście interesować się tymi sprawozdaniami, aby nie było rozbieżności w pracy naszego działu, a nieraz musiałem udzielać mu w formie grzecznych uwag dyrektyw co do sposobu opracowania niektórych sprawozdań wysyłanych do naczelnej komendy. Formalnie nasze stanowiska służbowe były równorzędne, ale z czasem stałem się faktycznie kierownikiem referatu rolnego. Landwehr był na szczęście człowiekiem skromnym, łagodnego i pogodnego usposobienia, bez żadnych władczych ambicji i był raczej zadowolony, że może spokojnie pracować i nie ponosić żadnej bezpośredniej odpowiedzialności, Zaprzyjaźniliśmy się, a gdy sprowadził do Lublina swoją żonę i córkę, odwiedzaliśmy się często wzajemnie, gdyż jego żona mimo dużej różnicy wieku zaprzyjaźniła się wkrótce z moją żoną.

Miałem przez dłuższy czas tak dużo do roboty, że zatrudniałem czasem aż trzy maszynistki - jedną Polkę - jedną Czeszkę

władającą biegle językiem niemieckim i jedną Niemkę. Wszystkie trzy biegle stenografowały i zwykle, gdy kończyłem dyktat trzeciej maszynistce, pierwsza przychodziła już z gotowym pismem po następny dyktat. Pamiętam jeszcze dość zabawny szczegół. Ta Czeszka była pierwotnie baletnicą, ale złamała nogę; nie mogąc tańczyć, nauczyła się pisać na maszynie i stenografować i została sekretarką. Zresztą nie grzeszyła bynajmniej urodą, miała jedynie piękną figurę.

Skoro cała akcja skupu zboża została zorganizowana i puszczona w ruch, major Dreger oświadczył mi: miał pan przez wiele tygodni niezmiernie wiele pracy- jest pan na pewno przemęczony, musi pan pojechać na urlop. Podziękowałem mu za tę propozycję oświadczając, że nie wiem gdzie miałbym spędzić ten urlop.

- Skoro tak, to obmyślimy panu jakiś wyjazd służbowy, który będzie równocześnie odpoczynkiem.

Wpadł na pomysł, aby kupić w Serbii i sprowadzić do Polski 200-300 kóz. Miały one być rozprowadzone w karłowatych gospodarstwach chłopskich, zbyt małych aby utrzymać krowę mleczną i stanowić zaczątek hodowli kóz w małych gospodarstwach. Sprawa została uzgodniona z austriackim gubernatorstwem w Belgradzie które miało zorganizować spęd znaczniejszej liczby sztuk z pośród których ja miałem dokonać wyboru. Oświadczyłem, że chętnie pojedę, ale proszę, aby pojechał ze mną któryś z inspektorów Towarzystwa Rolniczego, gdyż nie znam się wcale na kozach. Na propozycję przesłaną do Towarzystwa zgłosił się pan Grabowski i oświadczył, że gotów jest ze mną pojechać. Do mnie powiedział poufnie: Ani ja, ani żaden z naszych inspektorów nie znają się na kozach, ale jakoś sobie poradzimy. Wątpię aby te kozy były wiele warte, ale skoro Austriacy chcą nam zrobić taki prezent, to trzeba brać co dają.

Befehl /otwarty rozkaz/, uprawniające do bezpłatnego korzystania z państwowych środków lokomocji, do noclegów oraz utrzymania na koszt państwa, a także zaliczki na drobne wydatki osobiste.

W gubernatorstwie belgradzkim spotkało nas bardzo gościnne przyjęcie; po zanocowaniu pojechaliśmy w towarzystwie tamtejszego głównego referenta działu rolnego koleją do miast Niš a stamtąd jeszcze przeszło 20 km końmi, do pięknej górskiej miejscowości, gdzie zgromadzonych było około trzysta kóz tamtejszej prymitywnej rasy, o długim ceglato-rudym włosie. Wybraliśmy 200 sztuk, kierując się dobrym zdrowym wyglądem kóz i ukształtowaniem ich wymienia, wskazującym na stosunkowo dobrą wydajność mleczną. Nie zajmowaliśmy się ani zapłatą za kozy, ani ich ekspedycją do Lublina, gdyż wszystkie te sprawy łącznie z dostarczeniem konwojentów i paszy na drogę miało załatwić tamtejsze gubernatorstwo. Wpłynęliśmy do Belgradu, gdzie zatrzymaliśmy się dwa dni, aby zwiedzić to piękne miasto, niestety bardzo zniszczone wskutek działań wojennych. Znajomi mówili mi, abym pamiętał kupić doskonałą serbską śliwovicę. Wprawdzie sam wódki nie piłem, ale kupiłem 8 czy 10 flaszek dla naszych gości, którzy uznali, że wódka jest rzeczywiście znakomita.

W drodze powrotnej zatrzymaliśmy się przez dwa dni w Budapeszcie, tej pięknej stolicy Węgier, położonej po obu brzegach Dunaju. Przy zwiedzaniu miasta uderzyło nas wrogie nastawienie Węgrów do Niemców. Ilekroć pragnęliśmy zasięgnąć na ulicy jakiejś informacji od przechodniów, próbując porozumieć się w języku niemieckim, spotykaliśmy się z odpowiedzią nem tu dom /nie rozumiem/, a dopiero gdy zaczęliśmy mówić po polsku, mina ich się rozjaśniała.

- A! Lengyel! /Polacy/ - skoro tak, to możemy mówić po niemiecku
okazywało się, że niemal wszyscy władali biegle językiem nie-

mieckim.

Byliśmy w ogrodzie zoologicznym na wyspie położonej w środku Dunaju między starą dzielnicą Budą, a nową Pesztem; byliśmy w b.dobrym Varieté, chociaż nieznaomość języka węgierskiego utrudniała zrozumienie wielu szczegółów programu; potem siedzieliśmy jeszcze wiele godzin w kawiarni słuchając cudownej gry cyganów węgierskich.

Po szczęśliwym nadejściu transportu kóz do Lublina okazało się, że nie wzbudziły one zainteresowania w drobnych gospodarstwach chłopskich, chociaż miały być sprzedawane po bardzo niskich cenach. Wobec tego większość kóz oddana została bezpłatnie do dyspozycji lubelskiego Komitetu Ratunkowego, który przydzielił je klasztorom żeⁿskim, utrzymującym ochronki dla dzieci.

Tak więc Austria wydała sporo pieniędzy na to, aby pan Turnau miał urlop wypoczynkowy, a dzieci w ochronkach lepsze wyżywienie. Zresztą Gubernatorstwo lubelskie nie poniosło właściwie żadnych faktycznych kosztów, gdyż wydatki na zakup kóz i pasz na drogę poniosło gubernatorstwo w Belgradzie i nie zostały one przez gubernatorstwo lubelskie zwrócone gotówką, lecz - wobec bezgotówkowego obrotu między gubernatorstwami - zaksięgowane na dobro Belgradu, w ciężar Lublina. Także koszty transportu nie były zdaje się płacone gotówką lecz kredytowane. Zresztą słyszało się często powiedzonko "Geld spielt keine Rolle" - /pieniądze nie grają roli/ - chodzi tylko o wygranie wojny i szastano nieraz beztrąsko dużymi sumami na różne niezbyt potrzebne cele.

Wkrótce po naszym powrocie z Serbii nastąpiły dość znaczne zmiany w składzie personalnym Gubernatorstwa. Obsadzono wiele stanowisk Polakami, usuwając Niemców. Austria starała się wszelkimi sposobami

uzyskać przyjazne nastawienie ludności okupowanych terenów, łudząc się, że zdoła doprowadzić Polaków do czynnego udziału w wojnie przeciw Rosji przez masowe wstępowanie do legionów. Gubernatorem zamianowany został w miejsce gen. Kuksa generał Szeptycki. Afiszował się on swym patriotyzmem, ale był gorącym wielbicielem Austrii i jej młodego cesarza Karola, o którym wyrażał się zawsze z największym szacunkiem i uwielbieniem tytułując go w rozmowach ze mną "Najjaśniejszym Panem".

Powróciwszy z Wiednia, wezwał mnie i zakomunikował mi, że na audjencji przyrzekł "Najjaśniejszemu Panu", że Gubernatorstwo lubelskie dostarczy na potrzeby armii znacznie więcej zboża, niż w roku poprzednim /nie pamiętam ile tysięcy wagonów miało to wynosić/ i że zaprosił już reprezentantów Krajowej Rady Gospodarczej na konferencję, na której zamierzał zawiadomić ich o zamiarze znacznego podwyższenia ustalonego już poprzednio kontyngentu przymusowych dostaw. Starąłem się przekonać Szeptyckiego, że tak znaczne podwyższenie kontyngentu doprowadziłoby do ogłodzenia ludności, ale nie chciał nawet słuchać moich wywodów.

Oczywiście wziąłem udział w zwołanej konferencji. W odpowiedzi na przedstawione przez Szeptyckiego żądanie prezes Stecki zapytał:

- Pragnąłbym wiedzieć, jakie jest zdanie pana Turnausa w tej sprawie
- Meldowałem już Jego Ekselencji Panu Gubernatorowi /gubernatorowi i jego zastępcy - kierownikowi administracji cywilnej przysługiwał tytuł Ekselencji/, że dostarczenie tak dużych ilości zboża przekracza możliwości kraju
- Tego nie wolno panu nie tylko mówić, ale nawet myśleć! dałem Cesarzowi przyrzeczenie i muszę je dotrzymać.

Reprezentanci Kraj. Rady Gospodarczej oświadczyli, że narzu-

cony poprzednio kontyngent przymusowych dostaw, uzgodniony z Kraj. Radą Gospodarczą oparty był na dokonanej przed samymi żniwami ocenie plonów i że meldunki o dokonanych już omłotach potwierdzają trafność tej oceny, wobec czego Kraj.Rada nie widzi żadnych podstaw do naznaczenia dodatkowych kontyngentów.

Na tym skończyła się konferencja. Szeptycki zatrzymał mnie jeszcze u siebie i polecił mi, abym zredagował pismo do kancelarii cesarskiej potwierdzające ustne przyrzeczenie dane "Najjaśniejszemu Panu". Szeptycki wpadł przy tym w taki ferwor, że zapominając, że rozmawia z Polakiem wydał te polecenia w języku niemieckim.

Redagując nakazany meldunek napisałem w nagłówku "auf Befehl seiner Excellenz des Herrn Generalgouverneur". Oczywiście nagłówek ten, podkreślony czerwonym ołówkiem, nie został przepisany w piśmie wysłanym do Wiednia, ale w aktach pozostał ślad, że referent nie solidaryzuje się z treścią pisma i nie ponosi odpowiedzialności za jego treść.

Faktycznie okazało się, że suma dostarczonego zboża tylko nieznacznie przekroczyła pierwotny kontyngent.

Szeptycki był bardzo czuły na wdzięki pięknych kobiet. Korzystali z tego różni spekulanci, najczęściej krakowscy, którzy wysyłali do Lublina różne młode osobki lżejszego prowadzenia, obiecując im odpowiednie wynagrodzenie za wystaranie się o pozwolenie na wywóz jakiegoś produktu, który można było stosunkowo taniej nabyć na czarnym rynku na terenie okupacji astryackiej, a sprzedać z dużym zarobkiem w Austrii. Wywóz niektórych produktów był bezwarunkowo zakazany, na inne można było uzyskać pozwolenie. Pozwolenie takie uzyskiwały w zupełnie legalny sposób rolnicze domy handlowe na zakup i wywóz np. nasion traw,

" w drodze wyjątku" pozwolenie na wywóz niewielkich ilości środków żywności, na pokrycie własnego zapotrzebowania. Pozwolenia takie otrzymywali bez większych trudności oficerowie i urzędnicy austriaccy, zatrudnieni w gubernatorstwie, a mający rodziny w kraju. Załatwianie takich podań, o ile dotyczyły produktów rolniczych, należało do kompetencji naszego referatu. Nie czyniłem trudności w udzielaniu takich pozwoleń, o ile wywóz w ramach istniejących przepisów był dopuszczalny, ale załatwiałem odmowne podania, które według istniejących rozporządzeń nie zasługiwały na uwzględnienie. Właśnie w takich przypadkach spekulanci po kilku niefortunnych próbach proponowania mi pokasznych łapówek gotówkowych, wysyłali różne młode ładne "petentki", które zgłaszały się na audiencję u gen. Szeptyckiego i w zamian za pewne "świadczenia w naturze" otrzymywały odręczną notatkę na podaniu, zlecającą pozytywne jego załatwienie. W kilku przypadkach otrzymałem podania z taką notatką i zastosowałem się do decyzji gubernatorstwa, gdy chodziło o produkty, których wywóz nie był bezwarunkowo zakazany, lecz na które można było uzyskać pozwolenie wywozu⁽¹⁾ w przypadkach zasługujących na uwzględnienie". Raz jednak dostałem podanie dotyczące produktu, którego wywóz był bezwarunkowo wzbroniony /nie pamiętam już co to było/. Poprosiłem o audiencję u gubernatora:

- Proszę Ekscelencji, trudno uwzględnić to podanie. Przed miesiącem wyszło ogłoszenie, noszące podpis Ekscelencji, że tego towaru wywozić nie wolno i że żadne pozwolenie na wywóz nie będzie udzielane.

- Skoro tak, to niech pan zredaguje jakąś odmowną odpowiedź z odóowiednim uzasadnieniem, w możliwie uprzejmej formie. Naza-jutrz urocza petentka, zjawiała się w sekretariacie gubernatorstwa, po odbiór odpowiedzi. Po jej przeczytaniu wybiegła zirytowana z biura i wykrzykiwała na cały głos zbiegając po schodach gmachu

gubernatorstwa:

- Inne nie dały, póki nie dostały, a ja głupia dałam zanim dostałam i g... dostałam! Krzyki te słyszało wiele osób - zatem incydent ten niezbyt przyczynił się do podniesienia autorytetu najwyższej władzy gubernatorstwa.

Tak się zdarzyło, że sam musiałem się raz starać o pozwolenie na wywóz mąki, co prawda nie dla siebie samego. Nie pamiętam już z jakiego powodu miałem raz jechać do Warszawy celem załatwienia jakiejś sprawy. Dowiedział się o tym pan Kazimierz Fudakowski, członek Krajowej Rady Gospodarczej z którą pozostawałem w stałym kontakcie i prosił mnie, abym jego rodzicom zamieszkałym w Warszawie zawiózł worek mąki pszennej. Warunki aprowizacyjne były w Warszawie bez porównania gorsze niż w Lublinie. Chleb kartkowy zawierał 50% różnych domieszek, jak kasztany, żołądź i łubin, a ~~chleb~~ mąki na czarnym rynku były wprost fantastyczne. Pozwolenie na wywóz - rzekomo dla mych krewnych mieszkających w Warszawie - uzyskałem bez większych trudności, ale musiałem jeszcze uzyskać od władz niemieckich zaświadczenie uprawniające do przewożenia tej mąki koleją do Warszawy, gdyż na terenie okupacji niemieckiej bagaż podróżnych był kontrolowany i środki żywności przewożone w większej ilości bez odpowiedniego zaświadczenia ulegały konfiskacie.

W Lublinie urzędowała reprezentacja niemieckiego gubernatorstwa wojskowego, na którego czele stał pułkownik ks. Bülow, a jego adjutantem był młody porucznik Ks. Ratibor, blisko spowinowacony z cesarzem niemieckim. Zawarłem z nim byłą znajomość na partiach kręgli, w których stale brał udział i dzięki niemu uzyskałem zaświadczenie umożliwiające mi przewóz mąki dla państwa Fudakowskich do Warszawy. Ratibor nigdy nie zadzierał nosa z po-

soły i towarzyski, tak że cieszył się powszechną sympatią, nie tylko wśród oficerów i urzędników gubernatorstwa, lecz także w licznych okolicznych domach ziemian⁴skich. Z Polakami rozmawiał stale po francusku, nawet gdy wiedział, że władają dobrze także językiem niemieckim; nieraz oświadczał, że w jego żyłach płynie krew polska, gdyż książęta na Raciborzu wywodzą się z Piastów śląskich.

Nie gardził trunkami, a trzymały się go przy tym różne psie figle. Pamiętam, że raz w czasie partii kręgli przy której przygrywała muzyka wojskowa, ktoś zafundował parę flaszek szampa, a raczej niemieckiego musującego "Sekta", który był stale do nabycia w menaży gubernatorskiej: Ratibor kazał ustawić obok siebie sześć wysokich wąskich kieliszków napełnionych winem i założywszy ręce w tył chwytał kieliszki ustami i wychyleł je kolejno jednym haustem, w takt muzyki.

Opowiadano mi, że raz odbyła się w restauracji hotelu Victoria niezła "popijawa" z udziałem Ratibora. Gdy wszyscy mieli już dobrze w czubach, któryś z polskich oficerów zaczął opowiadać, że za czasów carskich zsbawy takie kończyły się często tłuczeniem szkła i porcelany. Na to Ratibor zawołał

- Jak chcesz, to mogę wam przypomnieć te czasy i zaczął rzucać na podłogę kieliszki i talerze, a wychodząc kazał sobie przysłać nazajutrz rachunek. Restaurator liczył na to, że tak wysoko utytułowany gość nie będzie kontrolował wystawionego rachunku i przesyłając szczegółowy wykaz potłuczonego szkła i porcelany wstawił do rachunku sumę co najmniej dwa razy wyższą od faktycznej ówczesnej ceny tych przedmiotów. Ratibor nie ~~ma~~ślał jednak dać się niepotrzebnie naciągać. Poszedł do miejscowego dużego sklepu z porcelaną z otrzymanym wykazem, zapłacił w sklepie należność i polecił wszystko starannie opakować i odesłać do restauracji.

Nie brałem nigdy udziału w takich libacjach, gdyż lubiłem wypić najwyżej dwa lub trzy kieliszki dobrego wina przy obiedzie lub kolacji, chodziliśmy natomiast czasem z moją żoną na kolacje w hotelu Victoria w mniejszym kółku znajomych. Jedzenie było doskonałe, jak za najlepszych czasów przedwojennych, a piwnica restauracji była dostatecznie zaopatrzona w pierwszorzędne wina francuskie; ceny nie były bynajmniej zbyt wygórowane /jak na czasy wojenne/ i nie przekraczały naszych możliwości finansowych.

Menaża gubernatorstwa wzięła w użytkowanie niewielki opuszczony przez właściciela majątek niedaleko Lublina, którego nazwa uszła mej pamięci. Liczono na to, że można będzie tanio produkować mleko, jarzyny itd. dla menaży. Gospodarował tam bardzo nieudolnie podoficer Węgier, który wprawdzie pochodził ze wsi, ale nie miał pojęcia jak prowadzić gospodarstwo podmiejskie; przy braku wszelkiej fachowej kontroli prawdopodobnie sprzedawał też różne produkty "na lewo", dbając głównie o własną kieszeń. Zaproponowano mi, żebym objął kierownictwo i kontrolę nad gospodarką w tym folwarku. Zgodziłem się pod warunkiem, że będę miał do dyspozycji samochód na tak częste dojazdy, jak to uznam za potrzebne i że będę mógł pobierać na własną potrzebę wszelkie produkty po tych samych cenach, po jakich będą dostarczane dla menaży. Wkrótce zdołałem zorganizować tam racjonalną dochodową gospodarke. Wprowadziłem należyte żywienie i pielęgnowanie krów mlecznych, uporządkowałem istniejące, zupełnie zaniedbane plantacje malin, porzeczek, truskawek i szparagów, dałem instrukcje dotyczące uprawy i pielęgnowania warzyw. Dałem też do zrozumienia Węgrowi, że potrafię należycie ocenić wysokość osiągniętych zbiorów i skontrolować, czy ^{nie} idzie "na lewo". Koszty robocizny były nieznaczne, gdyż większość prac wykonywali żołnierze -

rze przydzieleni do gospodarstwa; do dyspozycji były też wszelkie potrzebne środki pomocnicze, nawozy sztuczne, doborowe nasiona itd, zatem nietrudno było utrzymać koszty produkcji na niskim poziomie i liczyć menaży niskie koszty własne za wszelkie produkty dostarczane codziennie do menaży. Korzystałem z tego również, otrzymując codziennie po tych samych cenach mleko, śmietanę, jaja a przez cały sezon letni wszelkie warzywa i owoce.

Przy przeprowadzce do Lublina sprowadziłem był z Krakowa pozostawiony tam na ^{kur} Sołskiego 7 dość spory worek ryżu, pozostały z zapasu zakupionego swego czasu jako rezerwa na czas oblężenia miasta. Ryż stał się w czasie wojny wielką osobliwością, to też wielkim uznaniem cieszył się ryż z bitą śmietaną, który pojawił się u nas jako deser przy kolacjach dla naszych gości brydżowych.

Po odjeździe Dillera skończyły się stałe partie brydżowe w menaży. Czasem chodziłem tam na partię, umówiwszy się z kolegami, później jednak partie te odbywały się częściej w domach prywatnych, bardzo często właśnie u nas.

Nieraz grywałem też w szachy, gdyż wśród oficerów pracujących w gubernatorstwie, był doskonały szachista, Węgier, rotmistrz Isbały.

Raz pojawił się w Lublinie fenomen 'szachowy "cudowne dziecko", mały sześćo czy siedmioletni żydek, który jeździł z ojcem po wszystkich miastach byłej Kongresówki i zarabiał, grając w klubach szachistów o zakład i prawie zawsze wygrywał, nawet z najlepszymi szachistami, W gazetach była wzmianka, że niemiecki generał gubernator Beseler, podobno świetny szachista grał kilka partii z małym Rzeszewskim i nie zdołał go pobić. Zaprosiłem starego Rzeszewskiego, aby przyszedł do mnie, gdyż pragnę zagrać z jego synem, Zjawił się mały ^{chudy} żydek w wytartym chalcie, z pejsami i długą siwą brodą i wątlą, jeszcze chudszy chłopczyzna który przetrząsnął się na rękach...

mimo, że pies zachowywał się zupełnie przyjaźnie. Stary pan Salomon nie chciał przyjąć żadnego poczęstunku, oświadczając, że je tylko "koszerne", uprzedził mnie, iż syn gra zawsze o zakład po 10 koron partia. Zasiadliśmy przy szachownicy; przy losowaniu przypadły mi białe, z czego skorzystałem rozpoczynając mój ulubiony gambit królewski, przy którym, przy poświęceniu pionka uzyskuje od razu możliwość bardzo silnego ataku. Chłopaczyna namyślał się dość długo nad każdym ruchem, po czym stosował zawsze najskuteczniejszą obronę. Po kilkunastu obustronnych ruchach chłopak myślał dłużej niż zwykle, po czym zrobił ruch, który na pierwszy rzut oka wydał mi się błędny, ale zacząłem się zastanawiać, czy to rzeczywiście błąd, czy też jakaś głęboko obmyślana zdradliwa pułapka. Po chwili zauważyłem, że chłopak zaczyna mi się przypatrywać i zdradzać coraz większy niepokój. Zorientowałem się, że popełnił błąd i czekał czy potrafię go należycie wyzyskać. Skoro zrobiłem ruch dzięki któremu uzyskałem po kilku dalszych pociągnięciach przewagę, zdobywając wieżę w zamian za konia i korzystną pozycję do dalszego ataku, chłopaczyna rozplakał się. Partię wygrałem nie tyle dzięki własnej dobrej grze, co dzięki błędowi przeciwnika. Drugą partię Żydziak grał białymi, wykazując rzeczywiście niezwykłe zdolności i wygrał ją bezapelacyjnie. Żał mi było tego nerwowego, niedożywionego dziecka, widząc jak bardzo przejmuje się grą i jak boleśnie odczuwa każde niepowodzenie. Zwróciłem się do jego ojca:

panie Salomon, widzi pan ^{jak} to dziecko męczy się i denerwuje - chłopiec powinien jeszcze bawić się a do szachów będzie się mógł zabrać, gdy podrośnie i nabierze więcej sił.

- Proszę Pana - man muss leben! /trzeba żyć/.

Wiele lat po drugiej wojnie światowej wyczytałem w gazecie, że amerykański arcymistrz szachowy polskiego pochodzenia Róschewsky zdobył wicemistrzostwo w jakimś wielkim turnieju. Był to chyba

mój lubelski partⁿer szachowy.

W tym samym czasie, gdy Szeptycki został zamianowany generał-gubernatorem, ustąpił mój szef major Dreger i kierownikiem działu gospodarczego został lwowianin, pułkownik Thullié. Stosunki z nowym szefem ułożyły się ~~jakna~~ lepiej. Jako oficer zawodowy nie posiadał on dostatecznych wiadomości fachowych do pełnienia powierzonej mu funkcji, ale był to człowiek światły, umiejący logicznie myśleć. Interesował się moją pracą i niczego ślepo nie podpisywał, lecz kazał sobie wyjaśnić i uzasadnić wszystkie ważniejsze proponowane przezemnie zarządzenia i decyzje w różnych sprawach. W razie potrzeby popierał ich załatwienie w wyższych instancjach.

Do wszystkich moich dotychczasowych funkcji powierzył mi jeszcze referowanie wszystkich spraw personalnych, a nie zdarzyło się nigdy aby nie zaakceptował moich propozycji.

Wobec płynności kadr działu rolnego spraw tych było dość dużo. Do działu tego przydzielano głównie oficerów, którzy byli czasowo niezdolni do służby frontowej, jako rekonwalescenci po odniesionych ranach lub z powodu przejściowo złego stanu zdrowia. Nieraz byli ponownie powoływani do służby frontowej już po upływie kilku miesięcy, a na ich miejsce przychodzili inni. Trzeba było taktownie zorientować się jakie kwalifikacje posiadają nowi kandydaci i do jakich funkcji można będzie ich użyć. Nieraz musiałem nawet urządzać dla nowo przydzielonych kandydatów krótkie kursy szkoleniowe i udzielać im stosownych instrukcji. Kursom tym przewodniczył zawsze pułk. Thullié, aby oficerowie, nieraz starsi ode mnie rangą i wiekiem nie czuli się urażeni, że muszą słuchać instrukcji młodego urzędnika cywilnego.

Właśnie w tym czasie utworzona została nowa kategoria urzędników gospodarczych, pracujących przy administracji terenów oku-

powanych w Polsce, Serbii i Rumunii, w dziale rolnym lub przemysłowym. Przewidziane było dla nich takie samo umundurowanie i takie pobory, jak dla oficerów intendenty. Dowiedziałem się o tym od Isnenghiego, który właśnie w tym czasie otrzymał był pismo, powołujące go na jakieś ważne stanowisko w cieszyńskiej Naczelnej Komendzie Etapowej, gdyż poznano się nawet tam na jego wyjątkowych zdolnościach. Przed odjazdem poradził mi, abym poczynił starania o nominację na takiego urzędnika gospodarczego. Przewidziane były trzy rangi: porucznika z tytułem wojennego komisarza gospodarczego /Kriegswirtschaftskommissär/, kapitana, z tytułem nadkomisarza /Kriegswirtschaftsoberkommissär/ i majora, z tytułem radcy /Kriegswirtschaftsrat/. Isnenghi przyrzekł poprzeć starania o nominację na Kriegswirtschaftsrata. Zależało mi na tej randze z trzech względów:

- ranga majora ułatwiałaby mi znacznie stosunki służbowe z oficerami pracującymi pod moim kierownictwem we wszystkich kominadach powiatowych,
- obawiałem się, że po odjeździe Isnenghiego trudno mi będzie utrzymać się w dużym komfortowym mieszkaniu, gdyż - jak już wspomniałem - dopiero major miał prawo do przydziału dwóch pokoiów i odnajęcia dalszego pokoju
- nie do pogardzenia była też podwyżka pborów.

Pułkownik Thullié postarał się na moją prośbę o wysłanie odpowiedniego wniosku do Naczelnej Komendy Etapowej w Cieszynie, a ja zawiadomiłem Isnenghiego o wniesieniu tego podania.

Po upływie około dwóch tygodni dostałem telegram od Isnenghiego zawierający gratulacje z powodu nominacji na Kriegswirtschaftsrata.

Poszedłem do krawca wojskowego ze zleceniem, aby przerobił kołnierz mego munduru, naszywając na nim odznakę majora intendenty + na jedno ramię gwiazdka na złotej naszywce. /Nosiło to

nazwę "złotego kołnierza"/. Byłem na tyle ostrożny, że zaczekałem z pokazaniem się komukolwiek w tym mundurze przed otrzymaniem oficjalnego zawiadomienia o nominacji.

Tymczasem w trzy czy cztery dni po otrzymaniu telegramu otrzymałem od Isnenghiego list ekspres, zawierający przeproszenie za mylną informację. Wniosek generalgubernatorstwa został załatwiony przez Naczelną Komendę Etapową przychylnie i zredagowana została moja nominacja na Kriegswirtschaftsrata. Nominacje począwszy od majora w górę musiały jednak jeszcze uzyskać zatwierdzenie kancelarii cesarskiej. Było to uważane za czystą formalność, gdyż nie zdarzało się, aby jakaś nominacja nie została zatwierdzona, dla tego Isnenghi uważał sprawę za załatwioną i przesłał mi telegram gratulacyjny. Nominacja została jednak zwrócona do Naczelnej Komendy Etapowej nie zatwierdzona, z dopiskiem: "w 33 roku życia jeszcze żaden oficer, nawet w sztabie generalnym nie został mianowany majorem". W nominacji zredagowanej w Cieszynie figurowała niestety data mego urodzenia.

Dopiero kilka dni po liście Isnenghiego nadeszła moja nominacja z dwunastozgłoskowym tytułem "Konsiliarkriegswirtschaftsoberkommissär". Przedrostek "konsisliar" na początku tytułu oznaczał, że jest to nominacja tymczasowa, obowiązująca tylko na czas wojny i nie dająca uprawnień do jakiegóś emerytury czy odprawy.

Moje obawy dotyczące mieszkania miały się wkrótce spełnić. Zjawił się u mnie funkcjonariusz urzędu kwaterunkowego i uprzedził mnie, że mam się przygotować na przeniesienie do mieszkania dwupokojowego, gdyż moje mieszkanie jest potrzebne dla jakiegoś wysokiego dygnitarza. Udałem się do szefa sztabu, pułk. Hausnera i przedstawiłem mu moją sprawę oświadczając, że będą chyba zmuszony prosić o zwolnienie z posady i opuścić Lublin, gdyż nie

mogę pomieścić się z rodziną w dwupokojowym mieszkaniu. Wiedziałem, że Haussner nie dopuści do mej rezygnacji, gdyż zdołałem sobie już wyrobić markę urzędnika "unentbehrlich" /niezbędnie potrzebnego/. Niełatwo byłoby znaleźć fachowego następcę który władałby językiem niemieckim równie dobrze jak polskim i potrafił bezbłędnie redagować wszelkie rozporządzenia w obu językach, a zebrało się już było tyle tych rozporządzeń redagowanych przezemnie, że została wydana broszura- licząca przeszło dwieście stron druku a zawierająca wyłącznie rozporządzenia redagowane przezemnie.

Starłem się ostatnio sprawdzić, czy w archiwum Biblioteki Jagiellońskiej nie ma tej broszury. Pokazano mi specjalny katalog materiałów dotyczących generałgubernatorstwa lubelskiego, ale mojej broszury tam nie ma/.

Przewidywania moje sprawdziły się. Hausner od razu przy mnie kazał się ^{po}przełączyć z urzędem kwaterunkowym - dajcie spokój Turnauowi, możecie mu dokwaterować najwyżej jakiegoś spokojnego kawalera. Tym dokwaterowanym kawalerem był młody kapelan wojskowy, ks. Karol Milik, zastępca głównego kapelana, Niemca.

Wkrótce zaprzyjaźniliśmy się z zacnym księdzem, a jego ordynans załatwiał mej żonie wszelkie sprawunki w mieście i odrowadzał także rano naszą starszą córeczkę Janeczkę do przedszkola prowadzonego przy jednym z żeńskich klasztorów, a w południe przychodził często po nią w zastępstwie mej żony, aby jej towarzyszyć w drodze powrotnej. Janeczka wstydziła się chodzić z żołnierzem; kroczyła zawsze naprzód sama, a poczciwy Jan szedł trzy kroki za nią, przy czym nie wolno mu było się zdradzić, że wogóle ma coś wspólnego z Janeczką.

Na placu litewskim stała dawna prawosławna cerkiew rosyjska,

przekształcona na kościół garnizonowy. W każdą niedzielę i święto odbywała się tam uroczysta msza, a kazania polskie głosił ks. Milik. Pochodził on ze Śląska i nieraz posługiwał się wyrażeniami pochodzącymi z gwary śląskiej. Przygotowywał sobie zawsze całe kazanie na piśmie i prosił moją żonę, aby je przeczytała i poprawiła różne słowa czy zwroty zaczerpnięte z gwary. Żona moja nie ograniczała się do takich poprawek, lecz nieraz redagowała odmiennie całe ustępy, stała się zatem współautorką kazań. Nieśmiały ksiądzyna przyjmował tę współpracę z pokorą i wdzięcznością.

Przed Wielkanocą miały się odbyć w kościele na placu litewskim rekolekcje przeznaczone nie tylko dla garnizonu, lecz także dla miejscowej inteligencji. Ksiądz Milik przygotował na te rekolekcje cykl kazań. W jednym z nich była mowa o walkach, które Kościół musiał staczać w różnych czasach w obronie wiary. Moja żona uzupełniła to kazanie ~~ustępem~~ o zwalczaniu religii przez rewolucję francuską i przytoczyła słynne hasło Voltaire) "Ecrasez l'infame". Ksiądz Milik zgodził się na to uzupełnienie, ale nie znając języka francuskiego, prosił o wytłumaczenie co te słowa znaczą i jak je należy wymawiać. Po tym kazaniu wrócił do domu wielce wzburzony i czynił mej żonie gorzkie wyrzuty:

- Co też mi Pani zrobiła najlepszego z tym Wolterem! Po kazaniu przyszła do zakrystii jakaś Francuzka, która uczy dzieci w którymś trudem dworze i koniecznie chciała się u mnie spowiadać. Z wielkim/wytłumaczyłem jej, że nie znam wcale języka francuskiego. Upierała się: - Jak to możliwe, przecież ksiądz tak pięknym akcentem powtórzył bluźnierstwo Woltera.

Nikomiu nie mogło wtedy przyjść na myśl, że ten skromny, nieśmiały ksiądz zostanie kiedyś filarem Kościoła, administratorem apostołskim diecezji wrocławskiej.

Austria, starając się o popularność wśród ludności polskiej

dbała o rozwój szkolnictwa. Już w 1916 r. zorganizowano polskie szkolnictwo kierowane przez rady szkolne. W czasie okupacji przybyło kilka gimnazjów, powstał Uniwersytet Katolicki i podjęte zostały wstępne kroki do reaktywowania Rolniczego Instytutu Puławskiego. Spotkał mnie wielki zaszczyt, gdyż zostałem mianowany reprezentantem Generalgubernatorstwa w Kuratorium Instytutu.

Na wstępnym zebraniu tego kuratorium miło mi było spotkać dawnego profesora Studium rolniczego, Stefana Surzyckiego, który referował projekt organizacji Instytutu. Nie mogłem wtedy przewidzieć, że wiele lat później Instytut Puławski odegra ważną rolę w moim życiu.

Wszyscy pracownicy cywilni, zatrudnieni w generalgubernatorstwie lubelskim, a będący poddawanymi austriackimi poddawani byli co jakiś czas przeglądowi komisji asenterunkowej i poborowej w razie uznania za zdatnych do służby frontowej. W czasie mej pracy w gubernatorstwie musiałem stawać trzy razy przed taką komisją. Nie przejmowałem się tym zbytnio, gdyż byłem pewny, że w razie asenterunku gubernatorstwo wyreklamuje mnie jako „unentbehrlich”/niezbędny/. Dowiedziałem się, zresztą, że sprawę tę załatwiano każdorazowo w sposób prosty. Przed każdym takim poborem szef sztabu posyłał adjutanta do lekarza wojskowego, który miał decydować o zdadności poborowych do służby frontowej, z notatką służbową, że jestem „unentbehrlich”, wobec czego nie powinienem być uznany za zdadnego do służby na froncie. Notatkę tę adjutant oczywiście dawał tylko lekarzowi do przeczytania i zabierał ją ze sobą, ale lekarz, któremu zależało na utrzymaniu dobrych stosunków z władzami gubernatorstwa stosował się stale do życzenia wyrażonego w ten sposób, być może także co do innych osób.

Lekarz usłyszawszy przy asenterunku moje nazwisko oświadczył bez dłuższych badań:

- Allgemeine Körper Schwäche, untauglich!

/Ogólnie słaba kondycja, niezdatny/

Za trzecim razem urzędował inny lekarz wojskowy. Podszedł do mnie z zapytaniem: Was fehlt Ihnen? /Co Panu brakuje/

Ubawiło mnie nieco, że lekarz mnie się pyta co ma podać za powód zwolnienia i odpowiedziałem /oczywiście po niemiecku/

- Nie wiem, właściwie nic wyraźnego

Lekarz odwarknął zirytowany:

Etwas muss ihnen doch fehlen! /Coś musi Panu przecież brakować/.

Był oburzony, że kazano mu mnie zwolnić, a ja nawet nie chcę podać mu jakiejś przyczyny zwolnienia. Oświadczyłem, że przechodziłem przed laty zapalenie osierdzia.

Lekarz przyłożył dla formy słuchawkę do mej piersi i zaraz padł werdykt: Schwerer Herzklappenfehler, untauglich! /niedomykalność zastawki sercowej/.

Jakże słuszne okazały się moje przewidywania z roku 1915, że chcąc się zabezpieczyć od służby na froncie najlepiej zdobyć sobie jakieś stanowisko w administracji wojskowej!

Zawarty w marcu 1918 r. pokój brzeski wywołał wśród Polaków ogólne oburzenie. Wielu oficerów pracujących w gubernatorstwie zrezygnowało na znak protestu z zajmowanych stanowisk i zgłosiło się do służby frontowej. Był wśród nich gen. Szeptycki i pułk. Thullié.

Na miejsce gen. Szeptyckiego zamianowany został gubernatorem Kroyat, gen. Lipošćak. Kroaci odnosili się wrogo do Serbów na tle wielowiekowych porachunków politycznych i dlatego wier- nie służyli Habsburgom. Nowy gubernator nie był bynajmniej orłem, raczej bierną marionetką, podpisującą bezkrytycznie

przedkładane mu dokumenty, ale był z natury dobrotliwy i życzliwie nastawiony do Polaków.

Następcą pułk. Thullie został zamianowany Niemiec, emerytowany major, którego nazwiska nie pamiętam. Nie taił się on wcale z tym, że jako zawodowy oficer nie zna się na sprawach gospodarskich. Dziwiłem się, że nie znaleziono na to bądź co bądź ważne stanowisko kandydata z lepszymi kwalifikacjami, ale mogłem być z tego tylko zadowolony, gdyż uzyskałem zupełną swobodę działania. Mój szef podpisywał wszelkie akta, które mu przedkładałem; zwykle nie czytał ich, najwyżej prosił aby mu w krótkich słowach streścić o co chodzi.

W maju dowiedziałem się, że wkrótce ma się odbyć w Wiedniu konferencja w sprawie zagospodarowania zbiorów wszelkich produktów rolnych z terenów okupowanych w Polsce, Serbii i Rumunii. Kazano mi przygotować obszerny referat na temat stanu zasiewów, horoskopu zbiorów i preliminarza ilości, które będą mogły być dostarczone na potrzeby armii i ludności cywilnej. Na konferencji tej miała też zapaść decyzja co do wysokości cen płaconych za produkty rolne przy przymusowych i dobrowolnych dostawach. Dostałem też prywatne pismo ze Lwowa od znajomego kierownika tamtejszego referatu rolnego, w którym doniósł mi, że czyni starania o przydział znacznych ilości zboża siewnego potrzebnego dla zniszczonych wojną gospodarstw w Galicji i prosił mnie o poparcie tej sprawy na mającej się odbyć konferencji. Zależało mi wobec tego bardzo na udziale w tej konferencji, aby osiągnąć możliwie korzystne wyniki dla polskiego rolnictwa zarówno na terenie okupacji jak i w Galicji. Chodziło o niezbyt wysokie kontyngenty dostaw przymusowych, dobre ceny, zboże siewne dla Galicji z dostaw indywidualnych od poszczególnych producentów, a nie ze skupu masowego. Pragnąłem pojechać sam a nie jako towarzysz mego szefa, zdając sobie sprawę z tego, że jeśli on weźmie także udział w tej

konferencji, to jako starszy rangą będzie przemawiał i dawał wyjaśnienia, a przy niezbyt wysokim poziomie inteligencji i braku fachowej orientacji nie będzie umiał wpłynąć korzystnie na osiągnięcie postulatów o które mi chodziło, nawet gdyby mi się udało nastawić go na zajęcie w tych sprawach takiego stanowiska, co bynajmniej nie było pewne.

Skoro zatem pułk. Hausner zawiadomił mnie, że mam jechać do Wiednia wraz z moim szefem oświadczyłem:

- Proszę bardzo, aby do Wiednia pojechał pan major beze mnie, albo ja sam. Wiadomo Panu, że pan major jako zawodowy oficer niezbyt orientuje się we wszystkich tych sprawach, których prowadzenie objął dopiero niedawno. Jako starszy rangą on będzie przemawiał, a mnie trudno będzie szeptać mu do ucha, co ma mówić. Nie miałoby zatem celu, abyⁱⁿ towarzyszył memu szefowi - a gdyby wszystko nie wypadło jak należy, to jednak odpowiedzialność spadłaby na mnie jako fachowca.

- Ma Pan rację, pojedzie Pan sam.

Poprosiłem o pozwolenie wstąpienia w drodze powrotnej do Lwowa, gdyż pragnąłem dowiedzieć się na miejscu co się stało z opuszczoną przezemnie Suchowolą. Uzyskałem na ten cel krótki urlop.

W konferencji brali udział sami wysocy dygnitarze, reprezentanci Naczelnej Komendy Etapowej w Cieszynie, dyrektorzy zainteresowanych departamentów Ministerstwa Rolnictwa i Apropowizacji itd. Reprezentanci działy rolnictwa w Gubernatorstwach Serbii i Rumunii byli to również starsi oficerowie, w randze majora, a wśród nich ja jedyny młody urzędnik wojskowy, w randze kapitana. Obecność wszystkich tych dygnitarzy nie onieśmieliła mnie jednak. Przemawiałem za znaczną podwyżką płaconych cen, posłu-

gując się powszechnie stosowanym argumentem, że "Geld spielt keine Rolle", a przy wyższych cenach na pewno uda się uzyskać większe ilości produktów przy zakupach z wolnej ręki. Poparłem też sprawę dostarczenia zboża siewnego dla Galicji podkreślając, że wpłynie to dodatnio na wysokość plonów w roku następnym. Udało mi się doprowadzić do korzystnych uchwał w sprawach o które mi chodziło, wracałem zatem z Wiednia bardzo zadowolony, że będę mógł reprezentantom Krajowej Rady Gospodarczej i Towarzystwa Rolniczego zakomunikować osiągnięte pomyślne wyniki.

Korzystając z urlopu pojechałem z Wiednia od razu do Lwowa. Już znacznie wcześniej napisałem był do profesora Gluzińskiego prosząc o uznanie umowy dzierżawy za rozwiązaną, gdyż wobec strat wojennych nie mam i nie będę miał funduszy na ponowne zagospodarowanie Suchowoli. Po przyjeździe do Lwowa, odwiedziłem prof. Gluzińskiego i zapytałem jakie pretensje rości sobie z tytułu nie dotrzymania przeze mnie warunków umowy dzierżawnej, według której byłem obowiązany oddać majątek z pełnymi obsiewami, tak jak go odebrałem. Odpowiedź zacnego profesora brzmiała:

- Nic mi Pan nie jest winien, dość już strat Pan poniósł; to ja mam wielki dług wdzięczności, bo gdyby Pan nie był wziął Suchowoli w dzierżawę, to byłbym ją sprzedał i teraz miałbym zamiast majątku listy Towarzystwa Kredytowego Ziemskiego, które są już obecnie niemal bezwartościowe.

Rozstaliśmy się w największej zgodzie i przyjaźni.

W Suchowoli zostałem przyjętego przez profesora Gluzińskiego rządcę, pana Gromadzkiego. Star^{sz}yszyn nadal pełnił swe funkcje. Według jego relacji "Moskale" zarekwirowali cały inwentarz żywy, płacąc rubla za sztukę, bez względu na to

czy to była krowa czy cielę. Równie śmieszne kwoty płacili za produkty rolne, oświadczając przy tym: "my niczego nie rabujemy, za wszystko płacimy".

W naszym domu był zakwaterowany oficer, który podobno bardzo pięknie grał na fortepianie, a gdy miał odjeżdżać, kazał zapakować fortepian do skrzyni /w której niegdyś fortepian został przywieziony ze Lwowa i która znajdowała się na strychu/ i odesłał go do Rosji. W domu nie było żadnych mebli, porozkradali je chłopci; próbowałem coś odszukać i odebrać, posługując się informacjami Staszyszyna, który wiedział co kto ~~ukradł~~, ale okazało się, że meble są już w takim stanie, że nie warto ich ~~ich~~ odbierać. Zapytałem też Staszyszyna, czy nie wie, co się stało z naszym srebrem.

- Ludzie gadali, że było zakopane pod psią budą, ale tam go nie było.

Wiedziałem, już że srebra nie ma co szukać pod psią budą, gdyż od Zabłockiego, który został powołany do służby wojskowej dostałem był z frontu włoskiego karwę^k - w której doniósł, że przekonał się - że ktoś ze służby podpatrzył zakopywanie i rozpowiedział o tym. Zabłocki nie chciał napisać, gdzie srebro jest zakopane w obawie, że na cenzurze ktoś może przeczytać tę informację i ją wykorzystać. - jeżeli Bóg da, że wrócę żywy z tej wojny - to pokażę gdzie srebro zakopane, ale gdybym zginął, to proszę dobrze szukać, a srebro się znajdzie. Zabłocki niestety nie wrócił z wojny, a wszelkie poszukiwania były na razie bezowocne. Dopiero po upływie przeszło roku, gdy już po wojnie ukraińskiej nastał pokój w kraju, profesor Gluziński doniósł mi, że srebro odnalazło się. Z początkiem zimy rozwieziono kompost leżący na folwarku od czasów przedwojennych jako nawóz na pastwisko. Na dzień zauważono, że w jednym miejscu ziemia pod kompostem musiała być rozkopana i

ponownie ubita. W tym miejscu znalazło się nasze srebro. Nic nie brakowało, trzeba było tylko dać nowe ostrza, gdyż stal była zupełnie zżarta rdzą.

Profesor Gluziński wkrótce potem sprzedał Suchowolę i przeniósł się do Warszawy. Dwór z sąsiadującym lasem nabył hr. Russocki a zabudowania folwarczne i grunty orne panie Bielska i Komarnicka, z którymi przez dłuższy czas utrzymywałem kontakt i odwiedzałem je w Suchowoli, gdyż prosiły mnie o udzielenie im rad i wskazówek w prowadzeniu gospodarstwa.

W sierpniu otrzymałem list od Joachima Jarochowskiego, kuzyna mojej bratowej /żony Jerzego/, który był wówczas dyrektorem ordynacji przeworskiej, należącej do ks. Andrzeja Lubomirskiego. Doniósł mi on, że zwrócił się do niego Antoni hr. ~~Lubomirski~~ ^{Lanckoroński} z prośbą o polecenie mu kandydata na stanowisko dyrektora dużego klucza dóbr Komarno, położonego w powiecie rudeckim, mniej więcej w połowie drogi między Lwowem a Samborem. W kilka dni później otrzymałem uprzejmy list od hr. Lanckorońskiego z powołaniem się na Jarochowskiego i zapytaniem, czy reflektowałbym na objęcie stanowiska dyrektora dóbr Komarno i prośbą, abym w danym razie przesłał mu swe dane personalne i podał nazwiska osób, mogących udzielić referencji o mnie. Odpisałem, że chętnie reflektuję, ~~xx~~ z chwilą, gdy zdokam uzyskać zwolnienie ze stanowiska w Generałgubernatorstwie, a jako osoby mogące udzielić referencji o mnie podałem dublańskich profesorów Miczyńskiego i Mikułowskiego Pomorskiego oraz p. Karola Kruzensterna /o którym była obszernie mowa w pierwszej części mego pamiętnika/ W niedługim czasie otrzymałem list od hr. Lanckorońskiego z zapowiedzią przyjazdu do Lublina celem omówienia ze mną warunków objęcia proponowanej mi posady. Jeszcze przed nadejściem tego listu otrzymałem miły list od p. Kruzensterna, w którym przy-